Rok 1937 25 kwietnia Nr 17

DZWONECZEK

pod redakcją ELI OLESKIEJ

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO"

U stóp ołtarzy Pańskich

Minęły dawno godziny nabożeństw. Jeno nieliczna garstka ludzi skupiła się przed umiłowanym wizerunkiem w bocznym ołtarzu pustego kościoła.

Jak zawsze, tak i teraz — więcej postaci niewieścich. Są i starsze już wiekiem, są i dziewczęta młode, które może z trudem z pasma godzin swoich obowiązków wyrywają tę króciutką chwilę modlitwy. Są i panny, ubrane według najświeższej mody. Są i tak zw. „babki kościelne", całymi dniami wysiadujące w ławkach.

A przecież, a przecież znalazła się tu jeszcze inna figura! Filar ją nieco zasłania... Figura to dojrzałego już, choć młodego mężczyzny — w oficerski. obcisły mundur opięta. Nie stoi, ani też w ławkach wolnych miejsca wygodnego nie poszukał dla siebie, lecz przyklęknąwszy na kolanie, długo, długo się modli z pochyloną głową...

— — — — — — — —

Czyż tego wojskowego, z licznej rzeszy jego umundurowanych towarzyszy nie trzyma tu najprawdziwsza potrzeba duszy, najszczersze pragnienie zbliżenia się do swego Stwórcy w poufnej, cichej rozmowie? Nic innego, jak tylko właśnie to.

Gdybyż go w tej chwili widzieć mogli wszyscy jego i przełożeni i podwładni — ci o wysokich rangach pułkownicy i generałowie, jak i tamci, z szarej masy żołnierskiej prostaczkowie, co z niezliczonych wsi polskich pełnią służbę w szeregach armii narodowej! Na całe życie z pewnością zapadłby im w dusze widok tego oficera, który strzegąc zawsze surowo honoru wojskowego, umie go tak pokornie składać u stóp Pańskich ołtarzy!

Bo przykład, czy idzie on z dołu czy z góry — działa, spełniając w rzeczach dobrych rolę apostolską.

O.

Arabskie figle

Oto jeszcze jeden wierszyk Kazimiery Iłłakowiczówny, napisany dla dzieci, z którego widzimy, że na całym świecie bywają chłopcy-figlarze, którzy szczególnie lubią dokuczać dziewczętom. Nic więc dziwnego, że i w gorącej Arabii spotkała się z nimi autorka.

Szły Arabeczki do źródła.
Pogoda była przecudna
nad Saharą.
Miały wodę w dzbanach miedzianych
na głowie poustawianych
pod miarą.

Nie za mało, ani za dużo.
A każda chętnie usłuży
swojej mamie.
Aisza, Fatma, Leila —
żadna konewki nie schyla
na ramię.

I szli mali Arabczykowie
do wszelkich figlów gotowi,
jak to młodzi!
Patrzyli, jakby tu komu
bezpiecznie i pokryjomu
naszkodzić.

Przebiegli dziewczętom drogę:
trącili, wylali wodę
z konewek.
Pognali dalej w słońce,
zostawili je głośno płaczące
pod drzewem.

Inżynier podziemi

Jednym z najbardziej uprzykrzonych stworzeń, zwłaszcza w ogrodnictwie — to kret. Ileż to razy zupełnie zrujnuje najpiękniej urządzone klomby, zniszczy długą i pracowitą robotę ogrodnika przez poderwanie korzonków roślin lub wysadzenie ich z ziemi — w miejscu, gdzie mu się właśnie spodoba przeprowadzić krużganek lub wyrzucić na powierzchnię choćby niewielki kopczyk. To też przeważnie tępią ludzie krety wszelkimi sposobami, nie zważając na to, że mimo wszystkich przykrości, jakie wyrządza, zasługuje na pewne względy, niszcząc masowo szkodliwe robactwo.

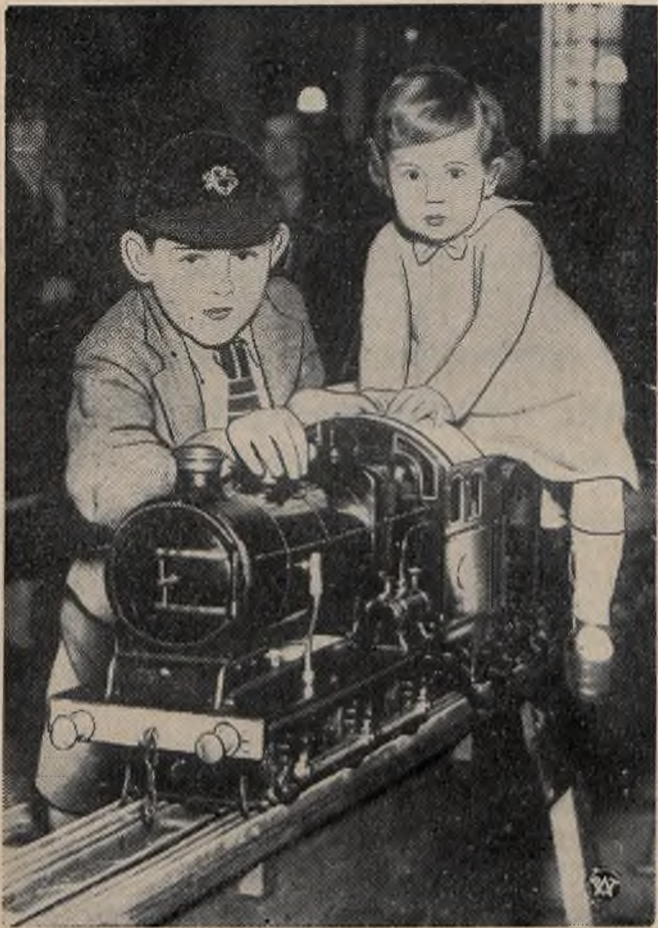
Ciekawe w każdym razie jest to zwierzątko, już choćby ze swego sposobu życia wiecznie w ciemnościach pod ziemią. A jest do tego doskonale przystosowany i właśnie gdy znajdzie się przypadkiem na zewnątrz, staje się wtedy zupełnie bezradnym i bezbronnym. Do przekopywania ziemi służą mu przednie łapki — krótkie, mocne, skierowane na boki, a zakończone stopą łopatkowatą. Nimi to właśnie drąży kret długie korytarze i nory swoich podziemnych pałaców. Przekonano się, że potrafi on niekiedy, przy sprzyjających warunkach, np. po deszczu, przekopać korytarz długości kilku metrów. Gdyby więc człowiek — odpowiednio do rozmiarów swego ciała, chciał wykonać podobną pracę, wypadło by na niego zrobienie korytarza długości kilometra, i to tak szerokiego, by mógł nim swobodnie przechodzić. Taki bowiem stosunek wypada między wielkością kreta a rozmiarami ciała człowieka.

Zaopatrzyła kreta przyroda w doskonałe zmysły, pozbawiając go tylko możności widzenia w świetle dziennym, gdzie staje się odrazu ślepcem. Choć nie posiada uszu zewnętrznych, gdyż zasypałaby mu je ziemia, cieszy się dobrym słuchem; lecz nade wszystko świetnie ma wyostrzony węch, który służy mu do orientowania się pod ziemią. Organem tego zmysłu jest śpiczasty i bardzo ruchliwy nos, który nawet w czasie ciężkiej pracy zwierzątka bezustannie węszy naokoło za zdobyczą, której potrzebuje kret niezmiernie dużo.

Głównymi pożywieniem jego są — jak wiemy — dżdżownice, pędraki, ale nie gardzi też innymi owadami i żadnego, spotkanego na swej drodze, nie puści z życiem. Rzuca się w ogóle na wszystko, co się jeno zabłąka w jego państwo podziemne i okazuje wtedy wielką drapieżność i zaciekłość. Ze stworzeniami takimi, jak żaby, jaszczurki, nawet żmije, daje sobie radę, nawet na wiele większe i silniejsze od siebie rzuca się odważnie i albo zabija wroga, albo sam pada w walce. Podobnie jest zresztą i wtedy, gdy spotkają się z sobą przypadkiem na wspólnej drodze dwa krety. Zawsze wtedy jeden zginąć musi, ale bywa, że i obaj przeciwnicy padają ofiarą swej wzajemnej nienawiści. Gdy jeden wyjdzie cało, wtedy żarłocznie pożera szczątki pokonanego wroga.

Jakże zupełnie inaczej przedstawia nam się kret, gdy jako niewielki, czarno-aksamitny wałeczek zostanie wyciągnięty na zewnątrz. Któż poznałby w nim owego drapieżnego napastnika, który nie przepuści najdrobniejszemu nawet chrząszczykowi, gdy się w okręg jego panowania dostanie! Ale i on ma licznych wrogów, którzy mu nie podarują życia nigdy, kiedy go tylko w swoją moc dostaną, a są nimi lisy i kuny, wszelkie łasice, jeże, nawet bociany i sowy. Największym jednak i najniebezpieczniejszym nieprzyjacielem to chyba człowiek, który najsprytniej potrafi się wedrzeć w jego dziedziny, lub prześladując go wszelkimi sposobami, zmusza do przenoszenia się na inne miejsce, a co za tym idzie, do nowej budowy ganków, korytarzy i mieszkań, do nowych trudów jego pracy inżyniersko-górniczej.

K. P.



Otwarta w Londynie wystawa różnych modeli kolei żelaznych stanowi prawdziwy raj dla dzieci, które z upodobaniem przychodzą gromadnie na wystawę ze swymi rodzicami i opiekunami, aby odbyć choć krótką podróż spacerową na prawdziwej lokomotywie. Obrazek taki przedstawia właśnie nasze zdjęcie.

Korespondencja „Dzwoneczka"

Z Zawoi, skąd już „Dzwoneczek" otrzymuje często wierszyki od „małej góralki" (tylko nie zawsze może je umieszczać z różnych względów), przyszedł tym razem liścik od małego ministranta. List jest bardzo starannie napisany, co przynosi chlubę tak samemu uczniowi, jak i szkole, która go kształci. Widocznie pod strażą Babiej Góry udają się w Polsce dzieci — oby takich „udałych" góralików było jak najwięcej.

Ponieważ list odnosi się nie tylko do „Dzwoneczka", przeto drukujemy go w całości, aby w ten sposób treść jego dotarła do tych adresatów, których ma na myśli Miecio K.

A może tam Zawoja owija swymi wzgórzami i lasami więcej takich młodych czytelników „Dzwoneczka" o pięknych słowiańskich imionach? — jak tych dwoje, co w bliższą weszli przyjaźń z gazetką? Cieszymy się, że cicha wioska podhalańska rozbrzmiewa słowami zachęty do czytania „Dzwonu Niedzielnego", który jest przecież organem całej archidiecezji krakowskiej. On łączy nas wszystkich niejako w jedną wielką rodzinę.

Dzwońże więc, Mieciu, nadal swoim dzwoneczkiem w skupieniu nabożnym w kościele i dzwoń głosem o „Dzwonie" po zielonych górach i dolinach Zawoi.

A oto jego liścik:

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Dawno temu miałem pisać do Ciebie „Dzwoneczku", alem myślał, że może mojej korespondencji Redakcja nie umieści. Dopiero teraz piszę parę słów. Mieszkam pod Babią Górą we wsi Za-

woi. Jestem uczniem 5 klasy szkoły powszechnej. Gdy miałem 9 lat, rodzice mnie dali, abym służył do Mszy św. i jestem ministrantem. W każdą niedzielę zajmuję się rozsprzedażą „Dzwonu Niedzielnego“ i zachęcam ludzi do kupna kochanego „Dzwonu“. Ministrantów jest nas 6. „Dzwony“ i inne pisma sprowadza nasz bardzo dobry ksiądz katecheta Jan Gimiński. Moi rodzice są bardzo dobrzy, dbają o moją oświatę. Tatuś jest kowalem .W szkole uczy nas pani Brableńcówna Zofia, zaś religii ksiądz Jan Gimiński. Kończąc ten list, żeby nie przeciągnąć korespondencji, zasyłam serdeczne pozdrowienia dla ministrantów, zwłaszcza tych, którzy rozsprzedają kochane „Dzwony Niedzielne“.

Z uszanowaniem **Mieczysław Kozina.**

A. Sosn. w Krakowie: Wierszyk otrzymaliśmy, ale teraz, kiedy wiosna nareszcie do nas zawitała, nie czas na rocznice listopadowe. Czemuż nie o Trzecim Maju? Musisz poczekać przeszło pół roku.

Niespodzianki wyprawy myśliwskiej

Opowiedział Marian Warta. (Ciąg dalszy)

Nasi znajomi nie mieli dużo pakunków, a w bilety okrętowe zaopatrzyli się jeszcze w Paryżu. Przeto nie wiele mieli kłopotu w samym porcie i znaleźli dość czasu, by się swobodnie móc przyglądać tylu rzeczom zajmującym a zgoła nowym dla osób nie znających życia nadmorskiego i tego charakterystycznego ruchu, jaki panuje w przystani.

Odbicie statku od brzegów Europy stało się dla nich chwilą uroczystą. Z radością, jaką w sercach budziły myśli o ziszczonych marzeniach, mieszało się nieco lęku pod wrażeniem, że wypływając na ocean będą przecież narażeni na tyle niebezpieczeństw przez szereg tygodni, z dala od lądu, między wodą a niebem; wszystko to jednak ustępowało pod wpływem ciekawości młodzieńczej, z jaką oko w oko zajrzeli nieznanemu żywiołowi.

Morze było spokojne, pogoda stała i żaden z młodzieńców nie wpadł w chorobę morską. Humory więc mieli doskonałe.

Trochę im jednak po pierwszych wrażeniach podróż zaczęła się dłużyć, skutkiem ciągłej swej jednostajności. Miała bowiem potrwać półtora miesiąca, wliczając w to parokrotne zatrzymywanie się statku u brzegów amerykańskich.

Wybrali drogę znacznie dłuższą, żeby mieć możność objechania niemal całej Ameryki Południowej. Mogli byli mianowicie jechać do Peru przez Panamę, wybrali się zać przez cieśninę Magielańską.

— Wiesz ty, Karolu, że oprócz wysp Kanaryjskich i Zielonego Przylądka nie będziemy przez dwa tygodnie oglądali ziemi, dopóki nie zbliżymy się do brzegów amerykańskich — mówił Raul, gdy z pokładu przypatrywali się osobliwościom morza.

— Ale za to będziemy się mogli napatrzyć morzu — odpowiedział mu Karol. (C. d. n.).

SZARADA

Trzecie — **czwarte** zawsze każdy dzień
[zaczyna,
Jego uśmiech słoneczny radością nas poi,
Zaś chmura na obliczu — to smutku przy-
[czyna,
Bo się deszczu u nas każdy zaraz boi.
Trzecie — **pierwsze** potrzebne zwykle dla
[obrazu,
Kiedy chcesz go powiesić w pokoju na
[ścianie,
Lecz bywa, że tę sprawę oceniasz odrazu,
Iż więcej warta ona, niż to malowanie.
Za to **pierwsze** wraz z **trzecim** tego nie
[wymaga,
Nic jej nie ujmie w pęta i nic nie zatrzyma,
Ledwie że się pokaże, już kędyś przepada
Nic nie zostawiając przed twymi oczyma.
Pierwsze to czasownik, zaś **drugie** zaimek.
Lecz to dla szarady już tylko przyczynek
Całość ziółko małe, wszystkim dobrze znane
Dla smaku do potraw nieraz dodawane.

ZAGADKA GEOGRAFICZNA

Co to za miasto w Europie, na którego nazwę w polskim języku składa się drzewo i więzienie?